

XX Zlot Turystyczny Polaków na Litwie

4 - 6 lipca 2008r. Dauksze, jezioro Ilgo, rejon wileński

Zloty turystyczne Polaków na Litwie – już „dwudziestolatkiem”!



Lata 1988-1989, znaczące nasze – Polaków na Litwie – odrodzenie narodowe, mimo upływu czasu mają w mej pamięci ostre rysy. Mnożyły się nam przecież wtedy dokonania jakże konkretne, a znamienne o tyle, że nieraz z numerem porządkowym 1.

W końcu stycznia'89 w podwileńskiej Białej Wace miały miejsce I Zimowe Igrzyska Polaków na Litwie. Apel „marsz, marsz, Rodacy, na łyżwy i narty!”, choć jeszcze nie było naonczas klubu sportowego Polaków na Litwie „Polonia”, znalazł naprawdę gromki odzew, a zwycięzcy rywalizacji 12-osobowym składem udali się niebawem do Zakopanego na II Zimowe Igrzyska Polonijne, budząc wśród organizatorów i gospodarzy powszechny szacunek. Jako ci, co się dołączyli do sportowej polonijnej rodziny zza tak szczelnie zamkniętego przez długie lata sowieckiego szlabanu. Te fakty bez wątpienia dodały nam skrzydeł. Zacierając ręce z zadowolenia, pielęgnowaliśmy kolejny – na pierwszy rzut oka zwariowany pomysł: a co, gdyby tak zaprosić wszystkich na I zlot turystyczny Polaków na Litwie?

Różą wiatrów natchnieni

Owszem, na dobry początek wypadło wrzucić do „plecaka”... wielkie zero. Nie mieliśmy przecież emblematu, flagi zlotowej, miejsca, gdzie mielibyśmy zalec obozem, programu eskapady pod namiotami. Zdecydowanie jednak tworzyło cuda, powodując wręcz na poczekaniu przygotowawczą ruchawkę. Pod wprawną plastyczną ręką Olka Żynduła poczęło się zlotowe logo – stylizowana róża wiatrów umajona w paproć, przeniesiona niebawem na płachtę jedwabiu, która pod postacią flagi miała załopotać na wietrze. Stefan Kimso w pocie czoła drukował dyplomy i bił okazyjne medale, a mnie nawet Muza-Natchniuzza nawiedziła. Jakże pomocna, by zrymować zlotowy hymn, którego pierwsza zwrotka i refren brzmiały następująco:

Miedniki, Mejszagoła i Sużany –

Niewiele map z pewnością o nich wie,

A nam ten pejzaż ma być dobrze znany,

Bo się Ojczyznę od pradiada zwie.

Więc pakuj namiot, słońce w plecak bierz

I Wileńszczyznę zwiedzaj wzdłuż i wszerz!

Odetchnęliśmy z wielką ulgą, kiedy na gospodarzy imprezy dobrowolnie zgłosili się rodacy z Sużan i okolic, w których gronie pierwsze skrzypce grali: Jan Szpakow, Stanisław Adomejtis, Algimant Baniewicz i Leon Stankiewicz. Zakotwiczony zlot w czasie w okolicach kalendarzowego św. Jana, narzuciliśmy szczegółowy program, a rozgłosiliśmy wszem i wobec o Polaków biwaku, z pewnym niepokojem oczekiwaliśmy, czy impreza chwyci.

I zazłociła się Wileńszczyzna...



Szczelny program dla zorganizowanych

Kiedy przymierzaliśmy się do I zlotu turystycznego Polaków na Litwie, wiedzieliśmy jedno: zarówno ten jak też kolejne mają rozechocić rodaków do treściwego spędzania wolnego czasu i wypoczynku na łonie ojczyściej przyrody, do podziwiania jej piękna. Skłonne one wszak były zapalać zielone światło przed turystyczną bracią w drużyny zorganizowaną, w składzie jako minimum 4 osoby płci pięknej i tyluż mężczyzn. Nie oznaczało to wprawdzie, że wstępu nie mieli też turyści „nie zrzeszeni” – tacy, co to – dajmy na to – rodzinami przyjeżdżali, by pobyc w gronie samych swoich, zachowując się jako istoty wielce kulturalne. Ze wszech miar niepożądane były natomiast wszelkie przybłędy, skłonne przyjechać, powylegiwać się w cieniu, zalać oczy byle trunkiem, by potem popisywać się na całe gardło swym pożał się Boże „repertuarem”, do rękoczynów podczas dyskoteki stawać, porzygać na zielonej trawce i odjechać, zostawiając po sobie istne pobojuwisko i jęki Matki-Natury.

Do cywilizowanego i aktywnego spędzania zlotowych chwil miał też skłonić mocno szczelny program, pobudzający na domiar zdrową rywalizację, którą wieńczył jak splendor moralny, że się jest najlepszym, tak też nagrody rzeczowe, medale i dyplomy. Już na zlocie I było więc aż 7 konkursów: meldunek o przybyciu, twórczości amatorskiej, wiedzy o Wileńszczyźnie, na najlepszą turystyczną „zagrodę”, gracji dla kobiet i siły dla mężczyzn, miss zlotu, które uzupełniały mocowanie się drużyn w przeciąganiu liny oraz zawody na orientację w terenie i w turystycznej sztafecie, gdzie na zwycięzców wskazywały uruchamiane przez sędziów stopery. Innymi słowy, kto chciał być najlepszy, musiał dwoić się i troić poniekąd już od rozbicia namiotu i pojawienia się na ceremonii otwarcia.

Niech żyje pomysłowość!

Na każdym zlocie preferowane są zatem pomysłuńek, zaradność i wena twórcza uczestników. Tłoczno, naprawdę tłoczno jest od tego, kiedy cofam własne zlotowe video pamięci. Ot, chociażby IV zlot turystyczny i konkurs turystycznych lekarzy-znachorów, kiedy to trzeba było

ożywić domniemanego topielca, bez deseczek usztywnić nogę turystycznemu połamańcowi, w gąszczu ziół leczniczych się nie pomylić. I – wypada przyznać – startujący (po osobie od drużyny) wyszli z tego naprawdę obronną ręką, każąc kibicującym nieraz swą rezolucją boki ze śmiechu zrywać.

Jak Elwirze Szełkowskiej (zwycięzcy konkursu zresztą) wypadło „topielca” odmiennej płci do życia nie teoretycznie tylko praktycznie przywracać, sztuczne oddychanie usta-usta robiła tak wprawnie i zalotnie, że ten, choć już absolutnie do siebie doszedł, udawał wciąż martwego. Andrzej Orłowski tak błyskawicznie, jak padło pytanie o najlepszy turystyczny sposób od zatrucia wódką, odparował w podwileńskiej gwarze: „pochmiałka”, a Stanisław Mikonis turystyczne boleści powodowane przez amora u płci brzydkiej radził leczyć... rychłym ożenkiem. Z kolei Eryk Tomaszewicz wcale nie został zaskoczony brakiem deseczki do usztywnienia niby złamanej ładnej turystycznej nóżki. Wziął i... elegancko przytroczył ją bandażem do ławki.

A ileż to emocji budziły konkursy na miss złotów! Począwszy od tego pierwszego, kiedy to w składzie autorytatywnej komisji zasiadł sam przywołany z odmętów jeziora Bałosza Neptun. Nim wyłoniono najlepszą, kandydatki kręciły obręczą na kibici, dzierżyły egzamin w skakance, wirowały w tangu-przytulangu z Neptunem, prawyły mu komplementy, popisywały się własną twórczością amatorską, obierały na czas kartofle. Słowem, per ziemskie aspera szły ad missowe astra, w których konstelacji notabene najokazalej zajaśniała Leonarda Klukowska, za co prócz innych nagród mogła się wybrać z Neptunem w morską podróż po Bałoszy. Dodam, że na kolejnych zlotach schedę po miss Klukowskiej przejmowały kolejno m. in.: Anna Chrul, Lila Bobrowska, Wiesława Borkowska, Joanna Trębicka, Aneta Latek, Elwira Lisowska. Podbijając serca jurorów bynajmniej nie tylko wdziękami, jakimi je Bóg obdzielił, ale też wiedzą, zmysłem, elokwencją, talentami.

Organizatorzy jak Dobre Duchy

Wielekroć podkreślałem, że złoty tworzą ludzie: jak organizatorzy tak uczestnicy. Poczet tych pierwszych złotymi zgłoskami wypada zacząć od Anny Adamowicz – popularnej ciotki Franukowej na scenie, a na co dzień – wykładowczyni Wileńskiej Szkoły Technologii, Biznesu i Rolnictwa w sąsiadującej z Wojdatami Białej Wace. A to dlatego, że Ania jako jedyna zaliczyła wszystkie nasze 20 złotów z orzełkami w plecakach. Zaliczyła – to nie to słowo! Była poniekąd ich Dobrym Duchem, w naszpikowanym humorem stylu robiąc konferansjerkę, sędziując konkursy, egzaminując np. turystycznych lekarzy-znachorów, ba – startując w drużynie złożonej z uczniów macierzystej szkoły rolniczej i – o ile mnie pamięć nie myli – wygrywając wraz z „Gangiem” na zlocie z numerem 7 łączną klasyfikację. Pozwól więc Ani, że wszyscy, którzy

byli dotychczas zlotom przypisani, zgotujemy ci huczną owację na stojąco. Dziękując za „już” i nie wyobrażając przyszłorocznej eskapady pod namiotami bez twego udziału, co niczym jej opoka.

Skoro pod pióro zaczęły mi się mimowolnie cisnąć weterańskie wątki, dotyczące tych, kto był kołem zamachowym naszych zlotów, nie mogę nie wspomnieć o sołecznickim trio – Reginie i Czesławie Sokołowiczach oraz wieloletnim prezesie tamtejszego oddziału Związku Polaków na Litwie Zdzisławie Palewiczu. Sokołowiczowie, a w szczególności – głowa rodziny był wręcz niezastąpiony w sędziowaniu rywalizacji sztafet turystycznych oraz zawodów na orientację w terenie, uprzednio ustalając trasy i maskując po leśnych ostępach punkty kontrolne, które należało z pomocą mapki, kompasu i szóstego zmysłu odszukać. Natomiast Zdzisław za każdym razem, kiedy drogi turystyczne wiodły rodaków nad Solczę, Wisińczę i Mereczankę, niczym filar wspierał komitet organizacyjny, troszcząc się, jak na zapobiegliwego gospodarza przystało, by turystycznym gościom nieba przychyłać.

Ponieważ poczynając od zlotu drugiego do zlotu siódmego włącznie jego organizatorem przy współudziale Związku Polaków na Litwie był klub sportowy Polaków na Litwie „Polonia”, w którego władzach wspólnie ze Stefanem Kimsą zasiadaliśmy, niczym dwa gniade w dyszlu ciągnęliśmy „wóz” organizacyjny. Nieraz naprawdę przez bezdroża, pokonując dziesiątki kilometrów, by znaleźć na mapie Wileńszczyzny miejscinę, gdzie uczestnicy mieliby pod względem lokalizacji obozowisko jak u Pana Boga za piecem, a potem wraz z także klubowym Michałem Sienkiewiczem temu obozowisku ojcowaliśmy. Stefan ponadto za każdym razem dbał o atrybuty zlotowe, medale, dyplomy, proporczyki.

Laurów warci uczestnicy

Wizerunek zlotowy byłby jakże niepełny, gdybym dobrym słowem pominął samych uczestników. Ponieważ temat to obszerny jak dotychczasowe 20 zlotów, ograniczę się do przywołania drużyn „Pajączki” z Niemieża, „Cicha woda” z Nowej Wilejki, „Kowboje” z Białej Waki oraz „Włóczędzy” z Wilna.

Synonimami „Pajączków” – historycznych zwycięzców w łącznej klasyfikacji na pierwszym zlocie – są Jadwiga i Zygmunt Lachowiczowie oraz Władysław Rusiecki. Ich sukcesom drużynowym towarzyszyły indywidualne – przez dobrych kilka zlotów Lachowiczowi nie było równych w konkursie wiedzy o Wileńszczyźnie, natomiast Rusiecki, choć wcale z postury nie przypominał

Waligóry i Wyrwidęba, godził znacznie bardziej muskularnych rywali w konkursie siłaczy. Na domiar im obojgu, odnoszącym triumfy, jakże obce było bielmo żądz zwycięstwa na oku, a jakże swojski uśmiech na twarzach. Bo udział w gronie zlotowiczów postrzegali przecież jako niepowtarzalną frajdę.

Ten, kto wymyślił tak spolegliwą nazwę dla drużyny „Cichej wody”, wyraźnie się pomylił, a może był to jedynie fortel, by uśpić czujność rywali. Bo w rzeczy samej przypominała wezbrany górski potok wartko pracy do przodu. Jej widoczni ze zlotu na zlot przy podziale nagród członkowie, na biwaku z numerem 6 zanotowali sukces końcowy, sprawiając wielką radość swemu megaliderowi – ówczesnemu nauczycielowi wychowania fizycznego Wileńskiej Szkoły Średniej im. J. I. Kraszewskiego Tadeuszowi Lembowiczowi. Bynajmniej nie tylko w moich oczach wzorowi pedagogicznego poświęcenia dla stanowiących trzon drużyny swych wychowanków (w tym też córek Agnieszki i Justyny), którzy u boku Mistrza wtajemniczali się w turystyczne arkana.

„Kowbojom” z Białej Waki, gdzie pogodę robili Andrzej Więckiewicz i Genadiusz Baranowicz, wojowniczego ducha także nie dało się ukryć. Wygrywali konkursy, choć ich specjalizacją stały się poniekąd wymagające znacznie więcej sprawności sztafeta turystyczna oraz zawody na orientację w terenie. A że zgodnie ze zlotowym regulaminem punktowane są one dwukrotnie wyżej niż konkursy, kilkakrotnie byli w czołówce oraz wygrywali łączną klasyfikację.

Godne pochwały, że za każdym razem u boku dorosłych były kowbojotka małe – dzieci startujących. W myśl „czym skorupka za młodu nasiąknie” wyrastały one w zlotowej atmosferze, podpatrując, jak rywalizują rodzice i gromadząc doświadczenie. Troska o pokoleniową sztafetę przyniosła jakże namacalne efekty: dziś mimo upływu czasu „Kowboje” są wciąż obecni, a rej w ich szeregach podczas 20 zlotu wiedli ci, co swego czasu byli „kowbojatkami”. Cóż, nic dodać, nic ująć, tylko zalecić ten przykład do naśladowania dla innych.

W miarę upływu czasu kilka wcieleń przeszła też wywodząca się z Klubu Włóczęgów Wileńskich drużyna o identycznej nazwie, startująca jako „Włóczędzy-kozacy”, jako „Włóczędzy morza”, jako „Włóczędzy-Szkoci” albo „Włóczędzy-Gruzini”. A traktując za każdym razem występy bardziej zabawowo niż serio, wnosili jakże niepowtarzalny koloryt. To, co wyprawiali Waldemar Szełkowski, Władysław Wojnicz, Marek Kubiak, Artur Ludkowski oraz dzielnie im sekundujący koledzy i koleżanki (na zlocie dziesiątym np. święcili triumf aż w siedmiu z ośmiu konkursów i w rywalizacji sztafet!), dziś winno stanowić zgrany na taśmy filmowe złoty fundusz zlotów turystycznych Polaków na Litwie.

Co więcej, po wygraniu łącznej klasyfikacji zlotów z numerem 9 i 10, kiedy stało się tak, że w wyniku kryzysu organizacyjnego nad biało-czerwonymi biwakami zawisła groźba „być albo nie być”, to właśnie początkowo „Włóczędzy”, a następnie powstałe na ich łonie Stowarzyszenie Inicjatyw Społecznych przejęło na swe barki całe brzemie organizacyjne i heroicznie je doniosło do tegorocznego zlotu z numerem porządkowym 20 włącznie.

Choć nie w gablocie, ale byłem...

Na parę tygodni przed tegorocznym jubileuszowym Polaków na Litwie biwakiem właśnie za podpisem Stowarzyszenia Inicjatyw Społecznych dostałem zaproszenie na uroczyste jego otwarcie. I choć początkowo żartem przekomarzałem się z organizatorami, że jako weteran mam być tam dowieziony niczym muzealny okaz w oszklonej gablocie, w dniu 4 lipca zabrawszy historyczną flagę, jaka łopotiała na maszcie przez siedem pierwszych zlotów Polaków na Litwie, pojechałem do Daniłowa.

I nie ukrywam – był to wypad jakże sentymentalny. Bo niczym żywe stanęły w szeregu wątki ze zlotu pierwszego sprzed 20 lat, tym bardziej, że przywołała je zdjęciowo-tekstowa plansza, na której ledwim siebie rozpoznał. Była też wspaniała okazja, by wymienić uściski dłoni albo złapać się w objęcia z Reginą i Czesławem Sokołowiczami, Anną Adamowicz, Stefanem Kimsą, Zdzisławem Palewiczem, Stanisławem Adomejtisem, Janem Szpakowem, Arturem Ludkowskim, Władysławem Wojniczem, który, choć okraszony przydomkiem „weteran”, nadal dwoił się i troił w organizacyjnym kieracie jako komendant.

A obok tej radości zakradła się bolesna nutka smutku, że na liście żywych nie ma już m. in. nieodżałowanych Zygmunta Śliżewskiego, będącego obok Czesława Sokołowicza przez długie lata zlotowym aż do bólu sprawiedliwym sędziowskim filarem, i Aleksandra Żynduła. Tego Olka, który swą artystyczną ręką spłodził do dziś aktualne logo zlotów turystycznych Polaków na Litwie. Tego Olka, który na zlocie pierwszym został przez uczestników jako Neptun przywołany z głębin Bałoszy. Tego Olka, który na zlocie drugim, kiedy dowodzoną przezeń artystyczną bohemę w postaci drużyny „Koła 4 Muz” dopadło totalne lenistwo, w pojedynkę walczył niczym tur: a to jako Oleńka Żyndulówna w konkursie na miss, a to jako znachor, a to jako biała Murzynka, wykonująca w konkursie twórczości amatorskiej coś zupełnie niesamowitego – czarnego bluesa, podświetlanego z czterech stron latarkami. Tego Olka, który ze zlotu na zlot wodził rej na dyskotekowym parkiecie do białego rana, zmieniając niczym rękawiczki nie będące mu w stanie dorównać kondycją partnerki i polewając przyniesioną z jeziora wodą „parkiet”, czyli łączkę, kiedy ta stańcowana do piasku zaczynała się kurzyć. Tego Olka, który cieszył się jak dziecko, gdy jego rozbrykane „Muzy” zgarniały na zlocie trzecim laury za

końcowe drużynowe zwycięstwo... Stawię tu bezradny wielokropek, gdyż długo można jeszcze jakże barwne wątki z Żyndulem w tle z pamięci wywoływać.

Natomiast pięknym gestem pamięci żywych wobec tych wszystkich, którzy przewinęli się przez dotychczasowe nasze biwaki, a którzy są dziś u Ojca Niebieskiego, była podczas uroczystej ceremonii otwarcia ostatniego zlotu symboliczna chwila milczenia na stojąco i mocne przekonanie, że wszyscy oni gorąco tej imprezie z wysokości kibicują. Nie sposób też nie odnotować laurów, jakie spłynęły na grupkę weteranów: zostali bowiem usadowieni na przykrytej owczyzną ławce, zaproszeni do wciągnięcia flagi na maszt oraz nagrodzeni pamiątkowymi lustrzanymi talerzami z emblematem zlotu i stosownymi napisami.

Dziś i jutro z namiotu widziane

Zlot do zlotu, biwak do biwaku i (aż się wierzyć nie chce!), zaokrągliły się one do jubileuszu 20-lecia, a nawet nieuzbrojonym okiem widać, jak znacząco się zmieniły. O ile na pierwszym dominowały bliźniaczo do siebie podobne szare namioty jeszcze sowieckiej produkcji, o tyle obecnie ich miasteczko aż się mieni od barw i kształty mnoży; jeśli naonczas strawę wzorem ludzi pierwotnych gotowano na ognisku, obecnie nagminnie są wykorzystywane gazowe prymusy i inne przybytki techniczne na miarę cywilizowanego XXI wieku. Tymże nieuzbrojonym okiem widać też, iż wśród uczestników w odróżnieniu od poprzednich analogicznych imprez zdecydowanie dominuje młodzież szkolna i akademicka. Plusem tego jest na pewno poryw serc, by walczyć o zwycięstwo. Choć. Te chęci innych jakże skutecznie stopuje drużyna z Ławaryszek, na zlocie ostatnim występująca pod romantyczną nazwą „Love Bat”, by po raz piąty z rzędu (!) święcić końcowy sukces. Cóż, jeśli za rok ta niepodzielna hegemonia nie zostanie przerwana, czy aby innym nie odpadnie w ogóle chęć udziału?

Zresztą, ta chęć udziału w zrzeszonych drużynach falowała nam przez zloty. Na pierwszym było ich 11, na II – 22, na VI (rekordowym pod tym względem) – 25, na VII – 18, na VIII – 13, na X – 14. Na tegoroczny biwak jubileuszowy stawilo się 10 drużynowych uczestników, czyli raczej mało niż dużo. Geograficznie reprezentowali oni rejon solecznicki, Wilno i rejon wileński. A gdzie się podziały rejon trocki i święciański? – zapytam retorycznie. W imieniu tych wszystkich, kto dziś organizacyjnie nie szczędzi wysiłku, by zlotowej tradycji stawało się zadość i komu należy się jakże niski zbiorowy dziękczynny ukłon w pas. Chociażby dlatego, że obecnie dalece nie nad każdym jeziorem bądź rzeką na Wileńszczyźnie da się zalec obozem, gdyż te, jako własność prywatna zamiejscowych litewskich nowobogackich, zostały odgródzone od dostępu dla ogółu prawie zasiekami drutu kolczastego.

Jak już nadmieniałem, organizując pierwszy zlot mieliśmy obawy, czy aby impreza chwyci i czy się sprawdzi na przyszłość. Teraz, po 20 latach, można powiedzieć, że jakże chlubnie zdała egzamin i dowiodła swej żywotności. Co więcej, że na dobre rozochociła do turystycznego czynu naprawdę znaczne rzesze naszych rodaków. Tydzień po zlocie Polaków na Litwie w tymże Daniłowie miał przecież miejsce VIII rodzinny zlot turystyczny, pod namioty z roku na rok tu i tam wybiera się młodzież szkolna. Słowem, turystyczne ziarno daje piękne wschody, co napawa radością.

Choć różni różnie plotą, święcie wierzę, że za rok zostanie rozmieniona trzecia dziesiątka zlotów turystycznych Polaków na Litwie. Kto chce natomiast wrócić wspomnieniami albo nasiąknąć dotychczasową zlotową atmosferą, niech się przeniesie na uruchomioną przez Stowarzyszenie Inicjatyw Społecznych stronę internetową www.zlot.wilno.lt. Stronę, która jest namiastką szerszej prezentacji w postaci tematycznej wystawy, jaka ma być zorganizowana na jesieni tego roku. Jeśli tak się stanie, gotów jestem udostępnić przechowywaną niczym relikwię flagę, towarzyszącą naszej pierwszej wyprawie pod namioty w roku 1989 oraz inne pamiątki wcześniejszej daty, a i sam się odnajdąć jako pokryty patyną czasu eksponat.

Henryk Mażul

Fot. archiwum i Marius Šlaustas – zlot.wilno.lt

W trakcie oddawania niniejszego numeru „Magazynu Wileńskiego” do druku zostaliśmy porażeni hiobową wieścią: w kilka dni po naszym tegorocznym biwaku opuściła nagle listę żywych Jadwiga Lachowicz. Cześć Twojej pamięci, zlotowa Weteranko, i niech Ci turystycznie będzie w jakże przestronnym namiocie Nieba!

Mażul H. Z orzełkami w plecakach // Magazyn Wileński 20 lipca 2008 r. Nr. 7 Str.